



Adam Cebula „Głosy z portek patriotycznych, czyli znowu o popkulturze”

nimfa bagienna



Foto: Adam Cebula

Ubarwianie rzeczywistości, która już minęła? Czemu nie... ale może jednak w pewnych granicach. Adam Cebula pisze o patriotyzmie i popkulturze.

Lubicie czytać kryminały? A powieści sensacyjne? To coś trochę innego, ale to także literatura trochę gorsza. Tak, tak – ani kryminał, ani powieść sensacyjna, ani tym bardziej film sensacyjny to nie jest szczyt osiągnięć kulturalnych. Horrory, science fiction, fantasy, romanse, powieści płaszcza i szpady oraz bajki dla dzieci i powieści młodzieżowe – wszystko to ląduje w worku, na który tak zwany prawdziwie kulturalny człowiek spogląda z pobłażaniem. Popkultura. Dlaczego nazywamy pewną kulturę „pop”? Kultura masowa – co to takiego? Ano, to coś, czym się zajmujemy. Zajmujemy się, ponieważ ludziom to łatwo „wchodzi”. Ponieważ owa popkultura jest popularna. Jest popularna, ponieważ... No właśnie.

Pomijając przeróżne cechy, takie jak masowość produkcji, kiepska jakość – którą swoją drogą na terenie sztuki ciężko zmierzyć – komercyjność, która polega na celowaniu w masowego odbiorcę zamiast w wyrafinowanego konesera, możemy owej sztuce masowej przypisać jedną, chyba dość istotną, cechę: ona nie opisuje rzeczywistości.

Przenosimy się z nudnej codzienności w światy przygód, legend, daj panie boziu uniwersa całkowicie wymyślone, w których spotykamy niecodziennych bohaterów, przeżywamy niezwykle przygody, a rządzą tam odmienne prawa, niż u nas.

Wytrawni czytelnicy oraz widzowie to wiedzą. Zadaniem sztuki nie jest tłumaczyć rzeczywistość, ale dostarczyć rozrywki osobnikowi, który wziął do ręki książkę czy ogląda film. Ma zwyczajnie zostać na jakiś czas zajęty, zabawiony, a owszem, dobrze by było, by po seansie wyszedł mądrzejszy, ale nie musi. Jeśli biedak wrócił ze stresującej roboty, może się nawet zdenerwować, gdy zaczniemy atakować jego skołataną głowinę. On zwyczajnie chce na chwilę odlecieć w świat, w którym jest

zabawnie. Nic więcej z tej przygody z twórcą nie wynosić poza uczuciem relaksu. I nie ma co mieć mu tego za złe.

Jest gorzej: utwór może kantować, kłamać (choć nie w tym sensie, że autor koniecznie chce odbiorcę wprowadzić w błąd) i często sięga się po ten zabieg. Na przykład kreujemy fałszywą wersję historii, która pasuje nam scenografii opowieści o masonach. Jeśli ktoś chce się utrzymać w konwencji „normalnego” sensacyjniaka, to nie może stworzyć świata w którym jest... jak jest, to znaczy masoneria to dziwaczne hobby nielicznych, pozbawione większego znaczenia. Bo nie będzie żadnej historii. Potrzebujemy świata w którym masoni rządzą wszystkim, kręcą niewidzialnymi kurkami, sterują rządami i organizacjami. Za fasadami, które widzą masy, musi się ukrywać jakaś tajemnica, drugie dno. Autor, jeśli chce opowiedzieć coś fascynującego, to musi opowiadać, że nie jest tak, jak widzisz, tylko całkiem inaczej. Zatem jeśli opowiadamy o tym, że Amerykanie wylądowali na Księżycu, to dziś już nikogo to nie zainteresuje. Z lądowania na Srebrnym Globie da się zrobić łatwą do sprzedaży, smaczną historyję, jeśli zaczniemy udowadniać, że to wszystko była ściema. No i wystaw sobie, Drogi Czytelniku, że ani autor, ani odbiorca nie muszą w to wierzyć. Dość, by była zręczna manipulacja faktami, sprawna żonglerka dowodzeniem, byśmy się nieźle ułahali.

Nie muszę autorowi wierzyć, by się dobrze bawić, tak jak nie wierzę, że magik w cyrku faktycznie materializuje w cylindrze królika. Wiem, że go wyciąga z pod stołu, ale podziwiam zręczność, daję się uwieść iluzji. Tak samo jak daję się uwieść Tolkienowi czy Lemowi, choć wiem, że opisał coś, czego nie było nigdy.

Poza popkulturą istnieje główny nurt, którym się karmią elity, i to z jego i ich pomocą kształtowany jest obraz świata. Ależ tak, mamy książki (utwory) psychologiczne, modernistyczne oraz jakieś inne, w każdym razie ambitne, które nie zniżają się do marnej rozrywki, ale celują na opowiedzenie odbiorcy, jak jest, z czego wynikają problemy świata, jak go naprawiać, jak żyć, by nie żałować, albo że najlepiej strzelić se w łeb, bo to wszystko nie ma sensu.

Przynajmniej nikt poważny nie powinien uważać za rzeczywistość schematów, jakie zaczerpnął z literatury (kultury) popularnej. Poważni ludzie wiedzą, że świat może wyglądać tak jak w „Kobiecie zawiedzionej”, ale nie jak w produkcjach Alistaira MacLeana. Podobnie jak marynarze wiedzą, czym się różnią morskie opowieści od prawdziwej żeglugi.

Wychodzi jednak na to, że w dzisiejszych czasach o tym, jak jest i jak było, przyjdzie opowiadać trzeciorzędnemu pisarzycy opowieści o tęgo pijących krasnoludach. Jakoś tak się robi, że cała ludność ochoczo rzuca się do tworzenia smacznej (ale niestety zupełnej) fikcji dotyczącej się – co najgorsze – naszych losów. Czemu akurat to widać z perspektywy kogoś zajmującego się od dawna wymyślaniem zupełnie nieprawdziwych historii i robiącego to z upodobaniem, to zupełnie inna sprawa. Ważniejsze jest, że ludzie, którzy mówią, że opowiadają prawdę, sięgają po sztuczki będące standardowymi chwytami „dla wciągania w akcję” w tanich i zupełnie niepoważnych produkcjach.

Żaden pisarz nie uniknie uproszczania świata przedstawionego. Sprawa bierze się już z tego, że uproszczeniem są wszelkiego rodzaju modele rzeczywistych zjawisk, nawet prostych fizycznych. Nie ma co marzyć; pragnąc choćby tylko zasygnalizować czytelnikowi całą złożoność rzeczy, zanudzi się go na śmierć albo zgubi bez ratunku w gąszczu wiadomości. Jednak w powieściach sensacyjnych upraszczamy tak, by to, co zostanie, pasowało do pewnych prostych schematów fabularnych. Warto zwrócić uwagę, że w kryminałach występują zwykle jako szwarccharaktery osobniki odrażające, złe do głębi, bez najmniejszej nadziei, że ktokolwiek czy cokolwiek może ich, jak Kmicica, zawrócić z drogi występku. Takie indywidua ściga na przykład sympatyczny inspektor Herkules Poirot. Jego przeciwnik zazwyczaj ma na koncie kilka trupów. Czytelnik Agaty Christie nie może mieć moralnych rozterek, podobnie jak nie mamy wątpliwości, że Bruner jest świnią.

Kwestię tę znam, niestety, nie z kultowego serialu, lecz z bodaj z programu „Spotkanie z balladą” gdzie parodiowano sceny z filmu. Tak, całkiem niedawno były czasy, że kpiono sobie z biało-czarnej konwencji. Rzecz w tym jednak, że widzowi nie zwracamy głowy hamletyzowaniem, zajmujemy go tylko i wyłącznie akcją. Jeśli straci pewność, że jego sympatia jest po właściwej stronie, całą zabawę trafi szlag. Jedną z podstawowych zasad tworzenia sensacji jest unikanie wszelkich moralnych rozterek: jedni są po prostu dobrzy, a tamci są źli bez żadnych wątpliwości. Jeśli możemy się czymś bardziej skomplikowanym zająć, to wykazaniem, że złe są właśnie rozterki.

Zniekształcanie rzeczywistości jest zabiegiem doskonale robiącym w popkulturze i nie powinno nikogo ani dziwić, ani niepokoić, ani bulwersować. Zniekształcona rzeczywistość, jak dobrze przyprawione mięsko, zawsze smakuje lepiej od naturalnego, czyli surowego. Takowego przecie nikt nie jada ostatnio, czyż się mylę? Wszelako za publikowanie retuszowanych zdjęć wykopują bezlitośnie z World Press Photo. Ciekawe, że równie restrykcyjnie nie jest traktowane słowo pisane.

Nie zamierzam dywagować, czy tak zwana kultura wysoka powinna się zajmować pokazywanie rzeczywistości: gdybym to ja wiedział, czym ona jest? Niewątpliwie jednak – w tym względzie nie mam najmniejszych wątpliwości – ktoś, ba nawet prawie wszyscy, powinni się przynajmniej trochę rzeczywistością interesować.

Na przykład mam taką ideę, wypadałoby wiedzieć, jak wyglądała nasza najnowsza historia. Temat niebezpieczny, lecz także diablo dobrze ilustrujący pewne zjawiska.

Obszar jest polityczny, trudno uniknąć ustawienia się po której stronie barykady, lecz wnioski jak najbardziej poza wszelkimi partyjnymi interesami. Nade wszystko moim zdaniem, są bardzo pouczające. Nawet jeśli oberwiemy po uszach – opłaci się.

Pewien szczegół, a może zasadnicza sprawa, która dotyczy obecnie bardzo romantycznie traktowanego okresu w działaniu opozycji antykomunistycznej w peerelu: jawność.

Jawność za czorta nie mieści się w konwencji płaszcza i szpady, bo tamże ma być dokładnie na odwrót. Jak z jawności zbudować zaskoczenia, niespodziewane zwroty akcji, gdzie tu upichcić wciągające jak bagno tajemnice, przy których czytelnikowi rozbłyszczą ślepie? Niestety, jawność się kompletnie nie nadaje.

Tymczasem po rozbiciu niepodległościowego podziemia (stało się to tak naprawdę gdzieś w okolicy roku 1947) ludzie sobie dobrze przemyśleli skutki romantycznych metod walki z komuną. Wyszło, że czasy Konradów Wallenrodów minęły. Wypraktykowano to, i okazało się, że jawność jest metodą.

Ścieżka polskiego samuraja, dysydenta, opozycjonisty (jak go tam zwał) była o wiele trudniejsza niż zapewne niejednego zamachowca godzącego się na śmierć. Ludzie za broń mieli coś takiego jak listy otwarte, jak wystąpienia na wiecach, oczywiście pod własnym nazwiskiem i z niezamaskowaną twarzą.

Jawność skutkowała tym, że buntownik był natychmiast rozpoznany, mógł być w każdej chwili aresztowany, wylany z pracy, że wszyscy wiedzieli, że to buntownik, i sympatyzowanie z nim skazuje na represje.

Aliści jawność wytrąciła komunie z rąk sensowność stosowania broni, którą doskonaliła w przekonaniu, że pokona nią wszelki wrogi element. Czyli demaskowanie spiskowców.

W przypadku tajnego działania, zauważmy, mniejsze znaczenie ma to, jakimi racjami kierują się spiskowcy. Decydujące jest, czy uda się im pozostać w konspiracji. Gdy zostają wykryci, na pierwszy plan wysuwa się owa tajność, spiskowanie, a o co chodziło – ma mniejsze znaczenie. Jeśli w

najślusznieszej sprawie delikwent podkłada bombę, to sprawą będzie ta bomba, a nie to, czemu została podłożona.

Odchodząc od filozofii i teoretycznych dywagacji, sprawdzono na własnej skórze, że jeśli zacznie się pisać owe listy otwarte, organizować jawne protesty, to represje będą stosunkowo niewielkie. Nie tak jak w przypadku spisku, uczestnicy przepadną w czeluściach kazamat, ale skończy się na obiciu grzbietu, posadzeniu na dwie doby, początkowo na wyrokach po kilka lat kicia. Generalnie protestujący, o ile skreśli swoje osobiste życie, może kontynuować opozycyjną działalność bardzo długo. Tyle że to wymaga cholernego hartu ducha.

Paradoksalnie, w tej metodzie walki problemem okazało się właśnie zapewnienie owej jawności. Chodziło bowiem, by nazwiska straceńców stawały się powszechnie znane, by stały się wręcz symbolami. Drobiazg; trzeba było dotrzeć do opinii publicznej w liczbie jakiś kilkudziesięciu milionów ludzi.

Osoby, które były tak dobrze znane jak Kuroń i Michnik, i których same nazwiska wywoływały uśmiech na twarzy, dzięki jawności stawały się do pewnego stopnia bezpieczne.

Jawność paraliżowała jedną z najgroźniejszych broni wszystkich tajnych służb na świecie: zdradę. Psu na budę konfidenti, podsłuchy, śledzący ludzi tajniacy, kiedy celem zamachu okazuje się pismo, w którym cała szajka podpisuje się z imienia i nazwiska. W takich układach zdemaskowanie okazywało się najgorszą rzeczą, jaką mogła zrobić władza.

Jedna z instrukcji dla opozycjonistów, jak się zachować w trakcie aresztowania, brzmiała: krzyczeć swoje nazwisko, imię, inne dane. Przypadkowi świadkowie rychło donosili do Wolnej Europy. To władza musiała się ukrywać! Jeśli czyjeś aresztowanie stawało się sprawą międzynarodową, to problem zaczynała mieć milicja, a przede wszystkim dziwnie dziś zapomniana Partia.

Im większą jawność udawało się uzyskać, tym gorzej radziła sobie bezpieka. W roku 1968, gdy wiele ofiar represji było anonimowymi jednostkami, padły wieloletnie wyroki, studentów relegowano z uczelni, wysyłano do wojska na słynne łodzie podwodne, częste były pobicia. Po roku 1970 zaczęto względnie lepiej traktować intelektualistów: mówiło o nich Radio Wolna Europa, zapewne przypominali dyplomaci w spotkaniach z bonzami PZPR. Po roku 1976, po słynnych ścieżkach zdrowia, gdy udało się zorganizować sprawniejszy obieg informacji o represjonowanych, siła prześladowań wyraźnie „siadła”. To, co spotykało ludzi, to nękanie aresztowaniami na słynne czterdzieści osiem, wyrzucanie z pracy, czasami tylko stosowanie szykan ze strony kierownictwa zakładu.

Życie opozycjonisty było ciężkie, wymagało wyrzeczenia się dóbr doczesnych, nie było szans na karierę, na tak zwane osobiste szczęście. Lecz kto był dość zdesperowany, mógł uprzykrzać władzy życie dowolnie długo.

Jedna z przyczyn względnie liberalnego traktowania dysydentów zapewne była taka: władza się przekonała, że jest ich bardzo niewielu, i właściwie niewiele mogą.

To osobna sprawa. Ćwierć wieku po odzyskaniu niepodległości pojawiła się tendencja do budowania legendy opozycji gdzieś tam od Piasta Kołodzieja. A także tworzenia wrażenia, jakby od zawsze była to jakaś potężna organizacja na wzór Państwa Podziemnego podczas okupacji. Do roku 1980 opozycja była naprawdę szczątkowa. Władza się przekonała, że jakieś tam grupy wicherzycieli... sobie wicherzą, ale nic strasznego się nie dzieje. Ustaliła się pewna równowaga działań i represji, opierająca się, podejrzewam, na pewności, że żadnego prawdziwego zagrożenia dla budowy socjalizmu nie ma.

To już dalszy temat, jednak ta szczupłość organizacji wymuszała jawność. Elementarna kalkulacja pokazywała, że w sytuacji, gdy członków zaangażowanych w knucie jest niewielu, szybciej czy później zostaną zdekonspirowani. Przy niewielkiej liczbie członków owej właśnie nie-konspiracy nie było problemu, by skatalogować wszystkich, by zawsze znalazła się osoba chętna do opowieści na ich temat. Bynajmniej nie do donoszenia. Ludzie często zdezorientowani udzielali informacji milicji w dobrej wierze. A ze strzępów danych dawało się złożyć jakąś całość. Wystarczyło podpytać członka podstawowej jednostki partyjnej zakładu, w którym pracował nasz figurant, zajrzeć na listę obecności, by dojść, czy dziś nie udał się na jakiś latający wykład.

Lepiej było nie udawać, że się nie jest elementem wrogim ustrojowi. Lepiej było od razu zapisać się do grupy odszczepieńców – wówczas, gdy delikwent zniknął bez śladu, rozpoczynały się poszukiwania po aresztach, natychmiast organizowano pomoc rodzinie, adwokata, nagłaśniano sprawę.

Prawda o opozycji antykomunistycznej jest taka, że starała się ona nie o zakonspirowanie, ale walczyła o jawność i – co gorzej – o instytucjonalne ramy. O to, by można było sobie powiesić wielki szyld, że tu się knuje przeciw ustrojowi. To było gwoździem radosnego festiwalu pierwszej Solidarności: że powstała legalna, w pełni jawna i uznawana przez władze organizacja.

No i jawność w III Rzeczplitej stała się demodé. Powodów jest wiele, jednak moim zdaniem jednym zasadniczym jest jej dramatyczna niekompatybilność z popkulturą. Ona do sensacyjnej fabuły pasuje jak pięść do nosa. Jawność burzy i wyobrażenia, i kłamstwa o tym, co było. Ot, jak z czystym sumieniem uzasadniać zaciekłość, z jaką ściga się dziś mitycznych TW (tajnych współpracowników), gdy chodziło o jawność? Aliści prócz TW o wiele ważniejsze jest „tak w ogóle”. Jakże zajmować się z pasją czasami, w których tak naprawdę wszelka akcja sprowadzała się do tego, że oni nas lali po grzbiecie jak chcieli, a my musieliśmy to po prostu wytrzymać?

Tak, Kochany Czytelniku. Marginesem były podchody, zabawa w chowanego, skrytki, tajni kurierzy, cała ta nader smaczna polewa wszelkich sensacyjnych historii. Prawdą było natomiast to, że życie uprzykrzała na co dzień nie polityczna policja, ale znajoma podstawowa organizacja partyjna, która stwierdzała naszą niewłaściwą postawę. Że mogłeś oblać maturę albo nie dostać się na studia z powodu nieodebrania legitymacji młodzieżowej organizacji, a jeśli czekałeś na mieszkanie, na które miałeś jak najbardziej wpłacony tak zwany pełny wkład, to gdy coś było nie tak z opinią o tobie, mogłeś sobie poczekać. Sukcesy walki z komuną to nie było zgubienie „ogona”, widowiskowe uniknięcie „kotła”, ale właśnie to, by nie odebrać nieszczęsnej legitymacji, zdać maturę i znaleźć się wśród tych kilku procent, którym komuna pozwalała studiować, co było przepustką do niezależności.

Wszelako polityczne bijatyki są poniekąd dobrze zrozumiałe i mało ciekawe. Ideologia zawsze fałszowała historię, podciągając ją do własnych potrzeb. Wspomnijmy choćby imć Kadłubka. Ciekawszy nieco jest aspekt, który mi się skryształizował na skutek pewnego spamu. Jaki do mnie dotarł.

Czy wyobrażacie sobie spodnie PATRIOTYCZNE? A może spotkaliście się już z czymś takim? Jeśli nie, to informuję, że dostałem ofertę nabycia takowych. Co więcej, obawiam się, że niechęć nabyłem. Z opisu na metce zgadzają się literki kodu. Portki teoretycznie są kroju militarnego. W pasie mają 120 cm, mają tasiemki, dzięki którym nie zlecą mi z tyłka. Gdyby chciał, mógłbym zjeść frytki, popijać coca colą, i utyć do nominalnego rozmiaru. Czy PATRIOTYCZNEGO?

Gdy chodziłem do podstawówki, to owszem, bywał czasami u nas na dydaktycznych występach iluzjonista, i wyciągał królika z kapelusza. Tyle że ten pan nam tłumaczył, że wyciąga go z pudła pod stołem. Dzięki temu mogliśmy chodzić do cyrku bez ryzyka, że ktokolwiek uwierzy, że pracowite hodowanie królików jest bez sensu. Tak, zostaliśmy dobrze przygotowani do obioru popkultury.

Współcześnie – coś się dzieje? Ludzie chodzą w patriotycznych portkach i żądają wyciągania z kapelusza. Wszystkiego. Na schematach wyjętych z powieści sensacyjnych usiłują budować obrazy prawdziwego świata. To osobna sprawa, czy jest problemem ewentualnie (czy dużym, czy małym), że w imię atrakcyjności opowieści fałszujemy najnowszą historię własnego narodu, robimy z pouczających i uniwersalnych doświadczeń płaską fabułę sensacyjnego filmu.

Jakąś sprawą jest, że ludzie, którzy deklarują się jako przedstawiciele kultury wysokiej, ba, nauki, mają głowę umeblowaną przez Sylvestra Stallone, myślą jak Steven, ale nie Spielberg, tylko Seagal. Że dmie się narodowe trąby, odwołuje do Mickiewicza, Słowackiego czy Sienkiewicza, a wychodzą w najlepszym razie fanfiki po Orbitowskim.

Wszelako, jako miłośnik, czytelnik i producent opowieści o tego pijących krasnoludach, bardach goniących za płcią o wiele bardziej piękną niż sławą, rycerzach niezbyt bohaterskich – o jednym muszę powiedzieć. Kochani piewcy chwały narodu! Wątek jawności sprzedaliście, bo przeszkadzał w osiągnięciu coraz wyższych tonów patosu. Tak... jeśli popatrzymy uważnie na „Człowieka z marmuru”, tam się już to zaczęło. Dęcie w narodowe dudy pociąga wszystkich niezależnie od politycznych zapatrywań. Ktokolwiek dorwie się do tej trąby, chce wydobyć z niej głosy, widać sprawia mu to niezwykłą frajdę, a cena w postaci wykrzywania prawdy wydaje się od dawna (jeszcze raz wspomnijmy Kadłubka) ustalona i sprawiedliwa.

Sprzedaliście jawność, jedno z najważniejszych spoiw współczesnego porządku na świecie, bo to zbyt trudny instrument. Trzeba mieć trochę oleju w głowie, pewnie i czytania, i wyrobionego gustu, by zabrzmiał nieprzyziemnie, więc odrzuciliście, by narodowym rykowisku nie przeszkadzał. No i trudno, kochani, tak macie. Wybaczamy, raz trzeci wspomnę, szlachetnemu Kadłubkowi, więc czemu was gorzej traktować?

Jednak, wchodząc faktycznie w koleiny popkultury, musicie wiedzieć o jednym. Tak, kochani, wleźliście na wózek z napisem „jazz dla mas”, sięgacie po tę konwencję właściwą dla Ludlumów, Ziemiańskich czy Pilipiuków, więc musicie się stosować do jej reguł. A jedna z ważniejszych zasad jest taka, że z patosem trzeba bardzo ostrożnie. To bardzo trudny instrument, powtórzę raz jeszcze, niezależnie od orkiestry, w której ma grać. Jeśli się źle ustnik przygryzie, za mocno zadmie (albo tylko nie dość umiejętnie), wydobędzie się z niego bardzo charakterystyczny odgłos. Taki, jaki brzmi zwykle z portek. Tym śmieszniej, jeśli patriotycznych.

Adam Cebula